

Stanisław Młodożeniec

O t. zw. chłopomanji i o tych, co chłopów chcą mieć i tumanić

PRZYPISEK REDAKCJI:

Cięty artykuł Stanisława Młodożenicy poprzedzić trzeba kilkoma wyjaśnieniami dla tych czytelników, którzy może nie śledzili dokładnie przebiegu sprawy, o jakiej będzie mowa. Rzecz idzie znów o metody polemiczne osławionego „Pionu”.

W n-rze 2-gim „ABC” literacko-artystycznego z dn. 7.1. b. r. ukazał się artykuł Stanisława Piaseckiego p. t. „Chłopy ida”, poruszający zagadnienie wchodzenia do piśmiennictwa naszego pisarzy rodem ze wsi. Jako przykłady przytaczał artykuł twórczości poetyckiej Stanisława Młodożenicy (rodem z chłopskiej chaty w Dobroci, cachi), świetną prozę młodego pisarza Wincentego Burka (rodem ze wsi Ocinku w Sandomierskiem), a także nadesłane redakcji i wydrukowane w tymże numerze „ABC” wiersze Jana Brzuzy z Nowego Sącza, niewolne od błędów ale w sposób ciekawy i nowy ujmujące tematy wiejskie.

Wkrótce potem, w n-rze 3-cim (z dn. 20.1. b. r.) „Pionu” ukazała się notatka p. t. „Chłopy pana Piaseckiego”, podpisana nazwiskiem niejakiego p. Tadeusza Makarewicza, a w notatce tej strasliwa, drugącojąca rewelacja: Jan Brzuza nie jest żadnym chłopem, bo był... urzędnikiem Ministerstwa Skarbu. Snać dla p. Makarewicza fakt ukończenia przez kogoś studiów i objęcie zawodu inteligentkiego przekreśla automatycznie chłopskie pochodzenie, chłopskie nazwisko, chłopskie pierwiastki psychiki i odrębności kulturalnej. Z równym powodzeniem mógłby p. Makarewicz ogłosić rewelację, obalającą przypisywanie Mickiewiczowi szlachectwa, bo przecież twórca „Pana Tadeusza” wykładał w College de France, był profesorem uniwersytetu...

Chłopskości pozostałych dwóch pisarzy, Stanisława Młodożenicy i Wincentego Burka, narazie p. Makarewicz nie kwestjonował. Biedaczek nie wiedział zapewne, że Młodożeniec z Dobroci jest teraz profesorem gimnazjalnym w Warszawie, a Burek z Ocinka (o zgrozo!) studentem angiastyki, co jak wiadomo według pana-makarewiczowej teorii przekreśla chłopskie pochodzenie całkowicie. Natomiast przyszedł p. Makarewiczowi w sukurs zwykły błąd drukarski, popełniony przez zecerę, składającego „Pion” i przegapiony przez korektora tego pisma. Zamiast Wincenty Burek — złożył zecer „Pionu”: Wincenty Burchter. Ani p. Makarewicz, ani redakcja „Pionu” nie uznała za stosowne sprostować w następnym numerze pomyłki. Niech sobie czytelnicy myślą, że świetny nowelista chłopski Wincenty Burek, drukujący swe utwory w „ABC”, to jakże żył Burchter. Co za wspaniały triumf polemiczny przy pomocy błędu zecer-skiego i niewinnego przemłczenia pomyłki! Patrząc — oto chłopcy pana Piaseckiego!

Ale nie dość na tem. Numer „Pionu” z notatką p. Makarewicza, zawierającą rewelację o Janie Brzuzie i przekreślenie nazw-sko Burka, wpadł w ręce p. Antoniego Olchy ze wsi Naprawa, który napisał od redakcji „Pionu” list, skwapliwie wydrukowany na łamach tego pisma w ostatnim numerze (z 24.1. b. r.). P. Antoni Olcha wchodzi w skład redakcji miesięcznika „Wieś — jej pieśń”, grupując dawnego, przedwojennego typu „chłopów — literatów” (w rodzaju „Jantka z Bugaja”). Przeczytawszy artykuł p. Makarewicza w „Pionie” obruszył się. Jakto? To o nas n.c. nie wiedzą w Warszawie, a polemiki toczą się o jakiegoś tam Bruchtera? (Nazwisko Burka uległo dalszej metamorfozie — niewiadomo czy w liście p. Olchy, czy też może w sławnej z chłujności korekcie „Pionu”). Chwali się p. Antoni Olcha wydawnictwem pisma „Wieś — jej pieśń”, o chotą naważaniem kontaktu z oficjalną literaturą i tem, że wierszyki Jantka z Bugaja sam Sienkiewicz ogłosił kompletnie, a pomyśle na Młodożenicy za pisanie „przypiewów” i na wiersze, zakończone reirsem „Oj dana”. Prawdziwa poezja chłopska — to tylko miesięcznik „Wieś — jej pieśń”, który, bruno boże, nie wojuje z stafiizmem, tylko drukuje wiersze Jantka z Bugaja.

P. Tadeusz Makarewicz wpadł w zachwyt po przeczytaniu tego listu. Co za radość! Wywołał wilka z lasu. Nareszcie „prawdziwy przedstawiciel literatury ludowej”, p. Antoni Olcha, pomaga „Pionowi” zdruzgotać tych Młodożeniców i Bruchterów! Uczyniwszy, że i tym razem, zającując w „Pionie” komentarz do listu p. Olchy, ani słówkiem nie prostuje pomyłki co do nazwiska Burka. Wierzę się pomyłka utwierdza w pamięci! Co tam! Trzeba przecież pograć tego Piaseckiego z „ABC” za wszelką cenę! Ze wiersze „chłopów — literatów” w rodzaju Jantka z Bugaja są właśnie, niestety, przeważnie obrabaniem odpadków z pańskiego stołu „oficjalnej” literatury, w przeciwnieństwie do chłopskiej prawdy, jaką wnoszą w literaturę Młodożeniec, czy Burek — to już p. Makarewicz nie obchodzi. Ważne dla niego jest tylko to, że znałazi „autentycznego chłopca — literata” p. Olchy, który zbłaźniony jego notatką, przekreśleniem nazwiska Burka na Bruchtera, stanął mu do pomocy w waice polemicznej z „ABC”.

Tym o stanie faktycznym sprawy. Pomyślej, kpiący artykuł Stanisława Młodożenicy, w odpowiedzi na praktyki pp. Makarewiczów et consorts. (Red.):

I.

W 12-tym numerze „Pionu”, znalazły się dwa, pełne swoiste-

go humoru kawałki, że warto nawet się nieco nimi zabawić. Idzie zdrowy powiew przez „Pion”, schodzą widocznie z koturnów namaszczenia i zaczynają się śmiać. To zdrowe: czuć pęd chłopskiego powietrza, które orzeźwiło ten kurz ich papierowych wypocin.

Sumiennie obsługiwany przez literackie pismo p. Olcha, literat prosto od pluga, szczerze się uśmieł w liście do Redaktora (którego?) z p. Piaseckiego i chyba z jego udanych chłopów, „które ida i wyglądają jakoś dziwnie... Pan Młodożeniec, Bruchter, Brzuza... Więc to mają być te idące w literaturę chłopy?”. Widzę, panie Olcha, jak pan napelnia to pytanie szczerym, szerokim, jedynym śmiechem. Pan umie się śmiać, bo pan wyrósł na wilgotnej glebie.

Współczuję tylko Panu, spowodu tego trudu przy czytaniu artykułików p. Makarewicza. Już młotem sposobność dobitnie wykazać, jak to trudno czytać nawet profesorom Uniwersytetu (prof. Sinko!), nie mówiąc już o licznych wygiętych w skoku do katedry kandydatach. Trudna sztuka — to czytanie! Panie Olcha, mógł pan wszystkiego nie czytać, mogliby tak panu co szepnąć do ucha. Uczono takie pany, żeby proście co szepnęli i trud byłby znośniejszy.

A oni! Jeszcze ironjami takimi się bawią, to dobrze chociaż, że Pan się odzegał od walki ze „stafiizmem”. „Chłopska poezja płynie swoim własnym łoży-

skiem”, zapewnia Pan. Płynie i z całą gotowością wpada w Staff. A w który, panie Olcha? właściwie to pytanie także nie do pana skierowane, tylko do p. Makarewicza, do świetnego znawcy i sumiennego informatora, który się cieszy do tego stopnia, że gotów z panem łowić ryby w mętnej wodzie, stojącej i gnijącej stawu. On wybaczy panu Ironję (to pana Irenka z pałacu, panie Olcha), a będzie się unosił nad pańskim „wnikliwym odczuwaniem” i na „dużą dozę krytycyzmu”. To więcej chyba znaczy, niż pochwała Sienkiewicza, jak pan mógł się znowuż przekonać przy mozołniejszym czytaniu „Pionu”.

Pan Makarewicz dobrze radzi. Byli tacy, co radzili powtarzać „Oj - dana, dana” — a pan ich przygwoździł i p. Makarewicz też... Prosimy o dokumenty! Panie Olcha i Panie Makarewicz, pośmiejcie się szczerze, szeroko, otwarcie, wilgotnie! Przytoczmy nam próbkę takiej poezji i damy dokumentek:

Tu krzaczek — tam krzaczek — zza krzaczka ataczek...
pyk-pyk-pyk, pyk-pyk-pyk...
Pachciarzyk rychtuje,
chłopina celuje —
pyk-pyk-pyk, pyk-pyk-pyk...
Oj „dana — oj dyna —
to się już zaczyna —
pyk-pyk-pyk, pyk-pyk-pyk...
U... To wasze jedyne „Oj dana dana!”

II.

Aj, panie Piasecki, co pan narobił? Co jest? To ja potrzebowałem panu zaufać i co ja mam?

Szkandal! Jeden z tem „Oj dana, dana!” To pan nas spotkałeś, jak my się z Bruchterem bawili w chederze i my sobie robili te przyspiewy „Oj dana dana” i pan wtedy krzyknałeś:

— Mam!
I co pan masz i ile pan wziął za to, panie Piasecki? Skąd myby się tam w „Pionu” dowiedziały, że Burek to Bruchter, jakby pan im nie powiedział i nie wziął za to pieniędzy? A o mnie to nie wiedzą? Nie udaj pan, panie Piasecki — to z drugą kolejnością wyjedzie i mój Jungman. Tam u nich już jest na papierzu i w korekturze, a pan to masz w kieszeni i pan się śmiesz w akcyjnej spółce z firmą „Pion”.

Pan do mnie wymyślał takie nazwisko, co by się samo sobie dziwiowało: ten Młodożeniec — i za te pare groszy pan robisz taki gwałt. To nie pan posyłałeś mnie na tę prowokację do strzelca, żeby ich chłopską kulturę kłajstrować? Nie poznali: klaskaly i niepoznały. Do ludowców od Wyzwolenia też: nie poznali. Thugut z Wroną kręciały nosem, a te młode goje klaskaly też. Do ludowców — akademików od Polakiewicza: klaskaly. W „Tygodniku Ilustrowanym” kiedyś — z miłym chęciem. W „Czasie” też. Nigdzie nie poznali.

A Bruchtera poznał kto? W „Kurjerze Warszawskim” — nie. W „Wyzwoleniu” — nie. W „Młodej Myśli Ludowej” — nie. Wszystkie tam miślały, że to Wincenty Burek. I jego ojciec na

Ocinku taki był zaślepiony, co miślał, że to jego syn.

Nu — ile pan dostał od p. Makarewicza za tego Bruchtera, panie Piasecki? A co p. Olcha dostanie za swój śmiech, co go wyPomperował z tych szyrokiich pluc? A gdzie kontrakt, panie Piasecki? Zająłeś nas z Bruchterem z chederu i obiecywałeś złoćte janki i majufes, żeby my ino tych chłopów udawali z „Oj dana”, bo wtedy potrzebowaleś pan ten interes! Pan mi dawaleś redakturę w literackie pismo i jeszcze te słowa mam z brzękiem w lewym uchu, tak były namiętnie szepłane:

— Panie Jungman — dam panu nazwisko, co by się samo sobie dziwiowało, ale naucz się pan abecadla od estetyki, to będziesz pan estetyczny spec!!!

To ja się oburzałem panu w oczy i krzyczałem, że ja wszystkim wim i mam i ja chcę na samy wirchuszce: ja się znam na plastelinie i na papierzu, i na kurzu, i na śmieć, i na klawicymbal, i na wywieskach, i na literach z dwóch stron, i na literach z trzeciej strony, i na tyjater — i ja wczuwam! i ja wczuwam!!

To, panie Piasecki, ja panu jednym słowem powiem, co pan zrobiłeś z tym Bruchterem i co szciesz ze mną zrobić — pan jesteś Judasz na bidne żydki, że pan zawrócił w głowie i nie da zarobić na tem „Oj dana dana!”...

III.

Panie Olcha, pana sumiennie poinformowali, bo od tego są, a

zresztą pan ma „wnikliwie odczuwanie i dużą dozę krytycyzmu”. Właśnie — tylko z „oficjalną” literaturą! Ale proszę uważać: grzechniutko, kapelusik pod pachą. I aby czasem nie wypsnął się panu jaki przyspiew, np. — „pachciarz — albo — oj dana!” Pieśni — tak, ale przyspiew, Boże broń. To może być w Dobroci-cach, na Ocinku, u Kolberga, ale w literaturze — nie!

P. Makarewicz wie, że przyspiewy rozlegają się tylko w chederach. Gdyby nie był pewny, to p. Pomirowski szepnie mu do uszka: po dwakroć święte! To spec od wszystkich liter: z dwóch stron je czyta i z trzeciej też. Literacy nie śpiewają i nie będą. I literacy też nawet ludowi z p. Olcha na czele. POCO ten śpiew i ten krzyk i ten harmider? Duch ludzki z całemi przyległościami kucnął i siedzi nadęty, maszerujący w literkach, p. Olcha, w literkach p. Pomirowskiego.

Cichutko, radzę. — i kłaniać się i liścić pisać. Panowie grzechni — pochwała. Jantka z Bugaja chwalił Sienkiewicz i było przyjemnie. Teraz są więksi panowie, to panie Olcha, okazały większej przyjemności. A i ja miałem swoje przyjemności — to się pochwał. Mogłbym się w lipe rosochatą wydać z tej dumy, panie Olcha. Dwa razy ścisłałem rączkę samego p. Kadena — Bandrowskiego i uśmiechał się. Laboga, panie Olcha, sam p. Kaden uśmiechał się do mnie, tylko, że chyba mnie nie ceni! Pana napewno będzie cenił, bo już p. Makarewicz pana pochwałł, a p. Pomirowski zaakceptował, a p. Święcicki przypieczętował.

Aha, panie Olcha, i jeszcze jedno: sam prezes od Pałacu Literatury mówił niedawno: „Kolega Młodożeniec...” Laboga! Można przyjechać, powiedzą „Kolego!” — i ocenią — i Pałac pokażą — i harbatki naleją, o siolo pogwarzą, bo siolo lubią. O oraniu będą gadali, ino, panie Olcha, pilnujcie się, żebyście tam jakichś uniwersytełłów nie kofczyli! Burkowi Szekspira zachciało się studjować i z tą angielszczyzną swoje pocucie chłopskie chce pogodzić. Niewolno! Pilnujcie się, bo z Was jakiego Ojchlera zrobią i chłopomana. Oni tam strasznie lubią zmieniać nazwiska. Za plugi, panie Olcha, chodźcie i pieśni wyciągnąć, ale bez przyspiewów, na miły Bóg. Literkami śpiewać, kulaskami takimi wywodzić — i literatem się nazywać ludowym.

Ja z Bruchterem nie będziemy miejsca zabierać i nawet nie chcemy. Droga otwarta: Pałac pokaż, cukru dadzą i powiedzą: siolo! Ino, czołowiku, bez przyspiewów!

I żart na stronę, panie Olcha, bo naprawdę wierzę, że nie-akich rzeczy można się od Was nauczyć. I wy czeokolwiek od Burka, może i ode mnie też moglibyście się nauczyć. Nawet o tym „Wielgim Jasiu” moglibyśmy się dogadać. I o Mańkucie też — i o Lichocie też! I o Mańkucie też i o Lichocie też! I o Mańkucie też — i o Lichocie też!

P. Piasecki conieco ciekawego takżebym dorzucił. Ajno! I od Was chętnie, z czego można skorzysta, ale Was czemsta do wiatru nie wystawi. Mam jednak głębokie, ludzkie przeświadczenie, że p. Makarewicz lichoczo co wie, a od p. Pomirowskiego moglibyście dostać tylko trochę śmiecia.

Wierzę, że się od Was wielu rzeczy można nauczyć i od p. Brzuzy, którego nie znam, też się można nauczyć — przyjemnie, choć za miękką pisze. Ja ciągle się ucze od Jasia Patera, parobka, pracującego u mojego ojca na wsi.

I naprawdę, Panie Tadeuszu, i teraz nie mam do Was żalu, choć nie wiem /ci bono chciełiscie mnie upokorzyć. Ale, Panie Tadeuszu, Jas Pater, gdy, karmiąc krowy, napotka spleśniałe siano, nie włoży go za drabinę. Nietyle, już może z miłości do tych bydłał, bo taki znów idealny nie jest, przecież wie, że po takim sianie psikusne mleko musiałby brać do gęby.

L. Całkosńska

Intermezzo

kami okoliczne wydmy; tak bardzo romantyczna, tak szybko spalająca się w rozterce ducha. Mary Webb — (musiała chyba mieć za matkę chrześną George Eliot, bo obojętna na prądy nurtujące powojenną literaturę tkwi korzeniami w epoce wiktoriańskiej), śpiewając swą pieśń jednemu jezioru, które urzekło ją w najdalszym zakątku Anglii. I wreszcie ta najmiłsza, Tig Mansfield, tak nierała... i fantastyczna, że boję się spłoszyć ją niebacznym słowem.

Nie mówmy o nich, one śpią tylko... a teraz jest wiosna.

I pisząc to, widzę ją: Rosamond Lehmann.

Gdy czytała jej pierwszą dziewczęcą pracę*), a jest jeszcze bardzo młoda — pomyślałam, że Alicja z Krainy Czarów uczyla ją chyba sztuki stapania po ziemi, z głową w obłokach, w których łowi gołębie marzenia. I że szkoda było, gdyby miała jej zapomnieć. Bo właśnie urok i wdzięk tej dziwnej, trochę hardziej, trochę żalostnej powieści polega na nieustannym przenikaniu się rzeczywistości z fantazją. Ci, którzy znają, twierdzą, że jest to autobiografia. Nie wiem tego napewno, ale czy każda powieść do pewnego stopnia nie jest nią? Czy powierzając jakiemuś skrawkowi papieru nasze myśli, uczucia i przeżycia, nie wydajemy żywcem samych siebie? Tak, czy inaczej w danym wypadku hipoteza ta jest zupełnie możliwa; tyle nieprawdopodobnie świeżości, tyle dziewczęcych nastrojów, począwszy od najwzruszającego upojenia, po beznadziejną rozpacz i niewiarę tętni w tej książce.

Wszystko to, co stanowi jądro młodego życia: marzenia, głód wiedzy, studiów, przyjaźń i miłość wypełniają po brzegi „Dusty Answer”. Historia młodzieńkiej Judith, której udaje się wejść w życie zwartej i „samowystarczającej” gromadki dzieci „z muru” — ma niezależnie od odwagi, z jaką autorka zbliża się do niektórych zagadnień, nieopisany czar młodości i poezji. Wszyscy, w tej powieści, mimo, że wytrąceni przez wojnę z utartych dróg życia — są młodzi. I najmłodsza, najżarliwsza w poszukiwaniu ży-

cia z równoczesnym zacieraniem śladów rzeczywistości sama-Judy! I dopiero, gdy przyjaźń zawiedzie, oszuka miłość, spadnie na moment zasłona, ukazując rzeczywistość. Symbolizuje to chwila, w której wpatrzona w odbicie Roddiego w lustrze uprzytamnia sobie dwie rzeczy, to, że nie odwróciła głowy, by ujrzeć żywego i świadomości, że w życiu jej był snem, „Snem, który się ciągle powtarza, twarzą widzianą w anormalnym oświeceniu, zdeformowaną kompletnie. Nigdy go nie znała — nigdy nie był rzeczywistością. Uśniewała go wciągnąć na swoją drogę i nastąpiła kłęska. Ale uwolniła się. Dom obok stoi pustką, czeresnie ścięto i „dzieci z tamtej strony odeszły. Ale w porażce, pozostaje Judy jedno — radość. Była silniejsza od ich zbiorowej siły, odegrała rolę w życiu każdego z nich — zwyciężyła. Teraz zamknie rozdzielający życia. Niedługo znacznie myśleć. I co dalej? Ale jeszcze nie teraz.

Takim akordem kończy R. Lehmann powieść o jej moralności mówią, że jest zuchwała — a ja myślę, że przedewszystkiem bardzo młoda. I to niezależnie od doskonałych walorów artystycznych. Zdaje mi się, że właśnie tej cechy nie doceniła autorka, pisząc swą drugą powieść „Nuta muzyczna”. Wygląda to tak — jakgdyby postanowiła wejść w życie starszych i uczyniła to tak, — jak zwykli młodzi, z całą bezwzględnością przekonania, iż ci ludzie są kompletnie skończeni, bez jutra i możności rozwoju. To bardzo smutne, bardzo przynębiające. Zwłaszcza, że z wszystkich elementów, jakimi Lehmann posługuje się, wybrała pocucie brzydoty i miernoty, dając mu najgłębszy wyraz.

Nuta muzyczna w jej opowiadaniu jest pojawienie się, w środowisku skończonych, skazanych na szarą egzystencję ludzi, młodego beztróskiego chłopca. Wchodzi w nie, obala nieświadomie spokój drzemających serc, budzi przez kontrast pocucie szaryzny i tęsknotę do innego, barwniejszego życia, — odchodzi niewinnie w swoją prawdziwą życie, pozostawiając po sobie gorzyc tych, którym pozwolono bezkarnie wsłuchiwać się w cudzą pieśń. I przez cały ten czas autorka upiera się, tak zupełnie dziecinnie ob staje przy tem,

by akurat, tak a nie inaczej na to patrzeć, aby nie zostawić żadnego złudzenia tym starszym. Ta beznadziejność, z jaką uniemożliwia swym bohaterom rozwiązanie problemu brzydoty ich życia, — jest największym okrucieństwem młodości, a zarazem i świadectwem.

Trzecia z powieści „The Invitation to the Waltz” przekonała mnie znacznie mocniej — o wszystkich reminiscencyj i analogi motywów, zaczerpniętych z „Szczęśliwości” i „Pierwszego balu” K. Mousfield, że R. Lehmann należy do grupy tych pisarzy angielskich, którzy z Wirginiją Woolf na czele rozwijają w powieści pewien motyw, dając mu najpełniejszy wyraz. Dzięki temu fragmentaryczność nabiera cech skończonej całości. Może nie omyle się, przypisując zasługę tej formy utworów K. Mousfield. Doskonałym wyrazem powyższego typu jest „Zaproszenie do walca”.

Cóż to jest? Historia kilku dni przed balem i nocy balowej, w czasie których dwie siostry stykają się: jedna z życiem, a druga z miłością. I mała rozżalona Oliwia zastanawiając się nad tem dochodzi do przekonania, że „wszystko się zmienia — nie nie jest do siebie podobne.” Zostawiono ją w drodze. Ale nie da się. Ona też ma o czem myśleć. Tyle różnorodnych rzeczy przeżyła tej nocy. To poprostu nadzwyczajne. Życie! O Kate! czy nigdy sobie nie powiem?... I okrzyk ten zdradza cały świat nadziei, otwierając się przed oczyma Oliwii. A równocześnie zdaemy sobie sprawę z tego, że „Zaproszenie do walca” jest pasowaniem R. Lehmann na dorosłą istotę.

To ciekawe, jak bardzo przypomina mi drogę, po której kroczy Francis Robert. I tu atmosfera nabiera ciepła — i tu życie rodzinne ma daleki odbłask pierwowzorów Jane Austen i Dickensa. I tu gwałtowne falowanie uczuć łagodnieje. Jeszcze brzydota, upojenie, wątplenie przewijają się przez życie obu dziewcząt, ale złagodzone i jakieś inne... Wygląda to tak, jakgdyby autorka wykonała drobny, porozumiewawczy znak w stronę czytelnika, szepcząc razem z wujem Oswaldem: „Jakież uroczne! Siebzehn Jahre alt”. To właśnie stosowny wiek dla tak krańcowych uczuć...

I naraz staje mi się czegoś tał. Już wiem: Rosamond Lehmann nie dziecinnie ob staje przy tem,

**) Rosamond Lehman, „Dusty Answer”, tłumaczona na język francuski i polski.

*) Claude. Genevieve Foconnier — Prix Feminin.